ROK 1. CENA 30 GR.

ŚWIAT DOM i SZKOŁA

№ 22. Warszawa. TYGODNIK ILUSTROWANY. 7 lipca 1929.

WYDAWCA: RADA SZKOLNA M. ST. WARSZAWY. RED. HELENA BOGUSZEWSKA



Stara zagroda chłopska w Danji. Do art. Wrzosowiska Jutlandzkie.

I. W. KOSMOWSKA

MŁODZIEŻ SZKÓŁ ZAWODOWYCH

W ŚWIETLE BADAŃ PSYCHOTECHNICZNYCH.

Nakaz: „postawcie właściwego człowieka na właściwem miejscu“, zaczyna być i u nas obowiązującym. A tak niedawno jeszcze przeciętny ogół inteligentny, a nawet i ci z pośród niego, których zdolności, potrzeba zarobkowania, a rzadziej prawdziwe powołanie postawiło na stanowiskach nauczycieli



Introligatornia w Szkole Państwowej.

i wychowawców, nie orjentowali się w konieczności poznania potrzeb, i prac dyspozycji fizycznych i umysłowych szerokich mas, nie potrafili tego materjału ludzkiego odpowiednio zróżniczkować i sklasyfikować.

A jednak gdzieindziej, w państwach stojących na wyższym cywilizacyjnym poziomie, czynione są już oddawna w tym kierunku badania i poszukiwania, i im to właśnie zawdzięczają wielkie państwa swą potęgą ekonomiczną i wzrastający dobrobyt wewnętrzny.

Przez zużytkowanie każdej jednostki na odpowiedniem stanowisku, przez pozyskanie dobrych pracowników w przemyśle i w instytucjach użyteczności publicznej, machina państwa działa sprawnie, a społeczeństwo dochodzi do wydatnych rezultatów.

Pracownie więc psychotechniczne coraz gęstszą siecią pokrywają obecnie Amerykę i Europę zachodnią, przenikając i do innych części świata. Polska wydaje nam się terenem jednym z najbardziej odpowiednich do stosowania tych nowoczenych metod naukowych, choćby z tego względu, że leży przed nią ogrom zadań wszelakich, dotąd nie dokonanych, a także, gdyż posiada bogaty rezerwuar sił jeszcze nie wyzyskanych, a zdolnych.

I dochodzimy do tego przeświadczenia, że tu właśnie leży właściwa droga do naszego narodowego odrodzenia. Jakież bowiem są założenia pracowni psychotechnicznych, powstających obecnie u nas coraz liczniej, tak w stolicy, jak w ośrodkach prowincjonalnych?

Oto wynajdywanie najodpowiedniejszych warunków dla wykonywania czynności rozmaitych zawodów oraz określanie jakim warunkom musi odpowiadać dana osoba, aby mogła jaknajlepiej i najsprawniej wykonywać swoje czynności zawodowe.

Stosownie do tych zasad zorganizowany został warszawski Instytut psychotechniczny. Niejako wstępem do tej akcji zapoczątkowanej już na wielką skalę, był skromny narazie, bo prowadzony w czasach najtrudniejszych przez grono osób dobrej woli Patronat nad młodzieżą rzemieślniczą przy ul. Szpitalnej 12. W czasach, gdy nie było ani jednej bursy dla młodocianych pracowników fizycznych, Patronat stanowił dla nich jedyną przystań opiekuńczą, interesującą się ich losem, broniącą od wyzysku i krzywdy, skierowującą ich do odpowiedniej pracy. Dziś Patronat przekształcił się w specjalną Poradnię zawodową, zbierającą równocześnie dane o życiu rodzinnem młodzieży i skierowującą ją następnie do



Mleczarstwo w szkole państwowej w Szafarnie.

Instytutu, w którym podlega ona badaniom lekarskim, fizjologicznym, psychicznym i antropologicznym.

Instytucja, która tego dokonywa, została rozpatrzona w odpowiednie urządzenia setki aparatów. Frekwencja wynosi około 30 badanych dziennie, organizacja jednak Instytutu pozwala na zbadanie 100 osób dziennie, o ileby personel został powiększony tak, że rocznie mogłoby przejść przez tę instytucję do 30.000 młodzieży.

Zaczęto od ułożenia i przeprowadzenia ankiety o 35 zapytaniach: co do pochodzenia ucznia, jego stosunków rodzinnych, stopnia otrzymanego wykształcenia, zamiłowań i łatwości w przyswajaniu sobie przedmiotów szkolnych, tendencji społecznych, czytelnictwa, aspiracji i ambicji, uzdolnień w kierunku jakiejś specjalnej pracy i t. d.

Operowano wśród materjału mniej więcej jednolitego pod względem wykształcenia i środowiska. Kwestjonarjusz przyniósł około 1527 zbiorowych odpowiedzi, nie wszyscy jednak odpowiedzieli na każde z pytań.

Co do zawodów ojców, to niewykwalifikowani stanowili aż 44,3%. Jest to nie wesołe, ale daje otuchę na przyszłość, że ten ojciec, nie posiadający fachu, chce od tego losu ustrzec swoje dziecko. Rolnicy stastanowili w tym spisie 16,3%, co się tem tłomaczy, że sproletaryzowani chłopi chcą zapewnić swoim dzieciom byt w rzemiośle.

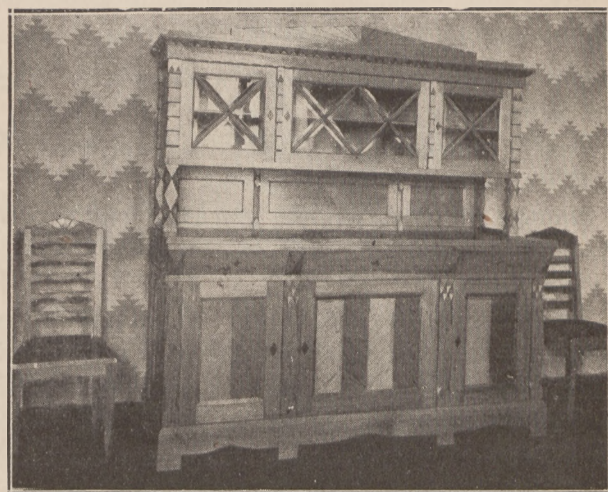
B. mały, bo wynoszący zaledwie 7,7%, dają uczniów szkołom zawodowym sfery pracowników umysłowych. Utrzymuje się bowiem wśród nich mniemanie, że praca fizyczna ma być pośledniejsza od umysłowej. Wszakże znana jest ogólnie groźba stosowana do leniwego dziecka, „jak się nie będziesz uczył, oddam cię do rzemiosła". Tego rodzaju fałszywe wyobrażenia przynoszą nam nieobliczane szkody, trzeba je więc zwalczać usilnie.

Dodatnim objawem jest, że obecnie już coraz więcej młodzieży wstępuje do szkół zawodowych po ukończeniu 7-klasowej szkoły powszechnej (40%);



Kamasznictwo. Szkoła zawodowa rękodzielnicza, Szpitalna 10.

pozwala jej to łatwiej opanować trudności w przedmiotach ogólno-kształcących. Najwięcej uczniów gimnazjalnych przechodzi do pracy zawodowej z 3—4 klasy, najczęściej brak środków jest tu przyczyną. % uczniów szkół średnich w szkołach zawodowych nie przenosi jednak 14%. Przechodzimy następnie do zawodów, jakie sobie chłopcy obierają w omawianych szkołach. Otóż metalowców było w nich na ogół 81,4%. Uwydatnia się tu naturalny instynkt młodości, raz do pokonywania oporu. Gra też tu rolę i fantazja, sen o potędze. Naginanie twardego metalu, kuźnia z tysiącem iskier, zdaje się go urzeczywistniać.



Kompozycja ucznia szk. miejskiej rzemieślniczej.

Wobec tego bledną korzyści innych, nieraz popłatniejszych zawodów, jak: stolarstwo, krawiectwo, a nawet zecerstwo i introligatorstwo, nieodstrasza częste bezrobocie wśród metalowców.

Szkoła zawodowa daje oprócz pracy ręcznej i pewną sumę ogólnego wykształcenia. W jaki sposób jej uczniowie odnoszą się do różnych przedmiotów? Na zapytanie, czy lubią wykład religji, 16% odpowiedziało twierdząco w szkołach chrześcijańskich, w żydowskich znalazło się takich tylko 4,3%. Byłaby to kwestja do rozważenia. Religja bowiem winna by być tym motorem, który kieruje młodzież ku szczytom, ku ideałom ludzkości. To samo możnaby powiedzieć o patrjotyźmie. Tymczasem odczucie i zrozumienie dla mowy ojczystej, dla wiedzy o Polsce jest w poszczególnych szkołach b. różne. W jednych z nich % „lubiących język polski" wynosi 93%, w drugich spada do 3,1%. Wina leżeć tu musi w wartości wykładu. Charakterystycznem jest, że % „lubiących język polski" nie jest o wiele mniejszy w szkołach żydowskich, niż w chrześcijańskich. Dziwnem wydaje się większe zamiłowanie do matematyki w tych ostatnich, a b. małe, naogół, zainteresowanie się chemją. Fizyka natomiast jest przedmiotem ulubionym, ale i to są różnice, % dochodzący w jednej szkole do 37, opada w drugiej do 7%. W technologji zaznacza się najsilniej różnica pomiędzy młodzieżą chrześcijańską a żydowską i pierwsza jest w tym kierunku znacznie więcej uzdolniona. To samo jest z rysunkiem. Krajoznawstwo interesuje też w znacznie większym stopniu młodzież szkół polskich.

E. LUBLINEROWA

DZIECI TROSKI.

(Ciąg dalszy).

Oto dziewczynka lat 8-iu, niebrzydka, trochę tylko zatęga, jak na swój wzrost.

Oczki czarne, sprytne, ogólny wygląd normalny. Obraźliwa, dąsająca się, kłótliwa.

Na ogół nieźle rozwinięta umysłowo; umie nawet czytać; mówi dużo, dość rozsądnie — ale rachunki, to jej słaba strona.

Pojęcia ilościowe są dla niej niedostępne. Cyfra, działanie — to rzeczy zupełnie dla niej niezrozumiałe. Oto chłopczyk mały, drobny, o maleńkiej główce i drobnych kończynach. Stosunek wymiaru głowy do tułowia i tułowia do kończyn, jak u dorosłego człowieka. Twarz starca — ze zmarszczkami na czole. Całość — to nie dziecko, to raczej starzec, widziany przez odwrotną stronę lornetki. Przy tem wszystkim nie jest on szpetny — przeciwnie, jest to bardzo milutkie, maleńkie stworzonko, coś w rodzaju Krasnoludka z bajki. On grzecznie zachowuje się na lekcji i zdaje się uważać! Obiecał mamusi, że będzie dobrym uczniem, więc panuje nad sobą. Umie on zapanować nad swemi mięśniami i nakazać im spokój, ale jego rozpraszająca się uwaga nie jest posłuszna jego wezwaniu, i biedny chłopiec z tem rozproszeniem uwagi poradzić sobie nie może.

Oto miły blondynek o niebieskich oczach, twarz pogodna, wesoła — ogólne wrażenie bardzo dodatnie. Mówi dobrze, prawidłowo i wyraźnie, ale porządnego zdania skleić nie może, gdyż wciąż przeskakuje z przedmiotu na przedmiot. Jest on bardzo roztargniony i niemoże skupić uwagi. Lubi ciągłą zmianę. Szczególnie pragnął by wciąż zmieniać miejsce pobytu. Wszędzie mu ciasno, pragnie dużej przestrzeni, dalekich spacerów. Największą trudność przedstawia zatrzymanie go w granicach mieszkania, zwłaszcza gdy jakiekolwiek wrażenie na ulicy pobudziło jego ciekawość. Nie jest on przyzwyczajony nietylko pytać się kogokolwiek o pozwolenie — ale nawet opowiadać się wychodząc.

Chciał się zawsze wymykać niespostrzeżenie i awanturował się wówczas, gdy natrafiał na opór. Wymyślał w sposób ordynarny i groził wybiciem wszystkich szyb, chociaż nigdy umyślnie żadnej szkody nie zrobił.

Nie podobna tu podawać charakterystyki wszystkich typów, które zjawiają się w szkole powszechnej i w niej pozostawać nie mogą i nie powinny, gdyż to by nużyło uwagę Szanownych czytelników i znacznie przekroczyło ramy artykułu, zaznaczę tylko, że w pierwszych 2 oddziałach szkoły powszechnej będzie tych dzieci, nienadających się do pozostania około 10%.

Mając do czynienia z materjałem tak trudnym, musieli się pedagogowie zastanowić nad tym, co z temi dziećmi robić. Musieli oni rozstrzygnąć następujące kwestje: czy zostawić dzieci niedorozwinięte i niesforne w szkole ogólnej, czy też lepiej je stamtąd usunąć? Co się stanie z dziećmi, usuniętemi ze szkoły? Czy należy stworzyć dla nich szkoły, specjalnie do ich braków dostosowane? Czy ta mozolna praca nauczycieli specjalistów da jakiekolwiek wyniki? Czy te wyniki są proporcjonalne do wysiłku pedagogów i do kosztów ponoszonych przez rodzinę i społeczeństwo?

Dawniejsi opiekunowie i pedagogowie nie zadawali sobie tyle fatygi, aby rozstrzygnąć te różne kwestje, rozjaśnić te wszystkie wątpliwości. Nie zastanawiali się oni nad tem, czy sposób przez nich wymyślony będzie z korzyścią dla wychowańca, czy też może męczarnie zadane dziecku będą bezcelowe. Skoro się nie chce uczyć lub uczyć nie może, niech idzie do szewca. Taki wyrok — to zemsta, to odwet za zawiedzione nadzieje.

Z początku obietnica ta użyta była jako groźba w przekonaniu, że taka perspektywa skłoni dziecko do nadzwyczajnego wysiłku woli. Dzięki temu wysiłkowi, pokona ono te trudności, które go dotąd swoim ogromem przerażały; ten heroiczny wysiłek woli sprawi, że utrzyma się ono w swojej sferze i niedopuści do degradacji.

Ale skoro wola była zbyt słaba lub zdolności zbyt małe, to pogróżka nie skutkowała jako taka. Taki „niepoprawny uczeń“ dostawał się zwykle pod opiekę majstra, najczęściej szewca, któremu się nakazywało, aby ucząc „nie żałował ręki“. Czy w tych warunkach kiepski uczeń zamieniał się na dobrego rzemieślnika, to wielka kwestja. Skoro pedagog w szkole nie mógł niczego nauczyć, to tego nie mógł zrobić majster, a system „niezałowania ręki“ nie mógł się przyczynić do podniesienia ucznia w tym kierunku.

Niezdolny czy niedorozwinięty uczeń, nieśmiały w szkole, staje się, dzięki temu systemowi, bojaźliwym, nieufnym we własne siły, co na poprawę wpłynąć nie mogło.

Dzieci z wadami charakteru, dzieci z defektami natury moralnej, stawały się, pod wpływem częstych

a niezawsze zasłużonych kar — złe, okrutne, podstępne i kłamliwe.

Ani niezdolny, ani niesforny nie pozostawał długo u jednego i tego samego majstra. Zmieniali oni majstrów ucząc się coraz to innego rzemiosła, ale żaden majster nie nauczył i nie mógł nauczyć owego byłego ucznia, zarabiać na swoje utrzymanie.

Takie wędrówki od jednego majstra do drugiego, od szewca do stolarza czy tokarza, kończyły się na tem, że ta lata udręki i poniewierki nie dały żadnego dodatniego wyniku: nie wyrobiły charakteru, nie wykształciły umysłu i nie dały fachowego wykształcenia, skazując biednego wykolejeńca na pozostanie do końca swego życia, ciężarem rodziny lub społeczeństwa.

Skoro uważamy, że dzieci trudne, dzieci troski, jak je często nazywają, niemogą się poprawić pod opieką majstrów, niemających pojęcia o pedagogice, musimy rozstrzygnąć kwestję, czy należy pozostawić dzieci trudne, niesforne i niedorozwinięte w szkole normalnej, czy też lepiej je stamtąd usunąć.

Pozostawienie ma swoje ujemne strony, gdyż niedorozwinięte, niesforne i małozdolne dzieci znajdą w szkole ogólnej warunki zgoła dla siebie nieodpowiednie. Dzieci te nie korzystają w szkole ogólnej, gdyż poziom dla nich za wysoki, tempo za szybkie i metody, nie uwzględniające ich braków.

Mało zdolny, czy niedorozwinięty uczeń dlatego nie korzysta w szkole ogólnej, że czuje na sobie ironiczne i drwiące spojrzenie kolegów i nauczyciela. Taki nastrój odejmuje mu resztki odwagi i wiary we własne siły.

Nie wolno nam też lekceważyć i tego momentu, że przebywanie zdolnych z niezdolnemi i niedorozwiniętemi działa na zdolnych demoralizująco, stają się oni zarozumiali, nabierają o sobie i o swej wartości przesadnego pojęcia, triumfują nad kaleką i znęcają się nad nim.

Ponieważ szkoła ma obowiązek dbać o mozolną istotę dzieci, powierzonych jej opiece, niewolno jej stwarzać takich sytuacji, przy których charakter dzieci narażony bywa na szwank.

Choćby dla tego jednego powodu należałoby usunąć dzieci małozdolne ze szkoły ogólnej.

Tu samo przez się nasuwa pytanie: czy my dlatego mamy wyrządzać krzywdę małozdolnym i niedorozwiniętym dzieciom, żeby ich koledzy nie nabrali brzydkich wad charakteru?

Gdyby to usunięcie ze szkoły ogólnej było istotnie krzywdą, wyrządzoną tym biednym dzieciom, niewolno by nam było tego uczynić; skoro jednak mamy to przeświadczenie że małozdolne, niedorozwinięte i niesforne dzieci przeniesione do szkoły specjalnej, zyskują zarówno pod względem moralnym jak i umysłowym, mamy nietylko prawo, ale i obowiązek usunąć ze szkoły ogólnej te wszystkie dzieci, które postępów nie robią. Jak mówiliśmy poprzednio, niedorozwinięty i małozdolny ma w szkole powszechnej nieodpowiednie dla siebie warunki.

D. c. n.

PEDAGOG

DZIECKO, A CZŁOWIEK DOJRZAŁY.

Dziecko: małe, drobne, niskie. Dopiero wzrastające, rozwijające się: odbywające mozolną pracę wegetacji.

Człowiek dojrzały — rozwinięty owoc!... Wzrósł, rozwinął się, przeszedł proces rozwoju; rozszerzył się, by łatwiej pokonywać przeszkody otoczenia.

Patrz! — jak dziecko mozolnie podąża za dorosłym: Człowiek dojrzały chodzi pewnie, z doświadczeniem; warunki fizjologiczne dostosowały się do jego potrzeb - wymagań.

A dziecko?...

Dziecko utyka, usilnie usiłuje przyjąć tempo wielkich kroków ojca, matki—dorosłego! Zaledwie utrzymuje ciężar ciała na słabych kończynach; bez doświadczenia, z mozołem uczy się ciężkiej nauki chodzenia, posuwania.

Dziecko przewróciło się!...

Niedoświadczone — śmiało podąża naprzód. Straciło równowagę — upadło... Dopiero się uczy; jeszcze „wstępna“ klasa... Zaledwie atomowy trud w olbrzymiej nauce zdobywania doświadczenia!

Dorosły już wyszkolony.

On: człowiek dojrzały — dyplomowany, dziecko: dopiero zdobywa wiedzę.

Drobna, okrągła pulchna rączka dziecka, złożona do wielkiej, rozrosłej, poznaczonej żyłami — ręki dorosłego — to oryginalny kontrast... W zespolonych dłoniach kryje się obfite źródło poezji życia!

Obserwator dostrzeże, iż w tym przypadkowym kontraście człowieka dojrzałego i dziecka—ukrywają się wszelkie przyczyny, różniące dziecko od dorosłych:

Wielka, żylasta, twarda dłoń dorosłego, w zesta-

wieniu z świeżą, pulchną rączką dziecka — daje z matematyczną dokładnością różnicę lat życia dwóch istot.

Przewaga lat życia człowieka dojrzałego — to okres, długotrwały czas zdobywania doświadczenia; bilans rozwoju psychicznego i fizycznego, który umożliwił mu przystosowanie do otoczenia. W tem przewaga człowieka dojrzałego.

Oddalił się sumą lat życia od dziecka. Lata w których zawiera się zespół jego doświadczeń — rozwoju; które wynoszą go ponad dziecko — czynią istotą wyższą.

Dziecko zatrzymało się wtyle. Przed sobą ma długą mozolną drogę, którą człowiek dorosły już minął. Mozolna praca! — ciężki trud!!!...

Tymczasem słabe, bojaźliwe, niedoświadczone. Warunki życia nieustannie dyktują wymagania, a dziecko, — bezradne!...

Czy my — dorośli, oceniamy, dostrzegamy, mozolne wysiłki słabego dziecka? Gdzieś nasze uwielbienie, zrozumienie, interesującego procesu zdobywania wiedzy przez dziecko? Czy wogóle oceniamy, pomagamy???

Dorośli a dziecko...

* * *

Dziecko obraca się w warunkach przystosowanych dla ludzi dojrzałych. Wszelkie urządzenia są stworzone dla ludzi dorosłych — rozwiniętych.

Wiek dziecięcy, który dyktuje wiele słusznych wymagań, prawnie uznaliśmy. Są ludzie dorośli — dla nich wszystko stworzone, — dziecko życie swoje jako: „dziecko“, musi przystosować się do warunków stworzonych dla dojrzałych: Dla wieku dziecięcego nie warto przystosować się, prawie nie istnieje! (olbrzymi błąd!!!). Urośnie — kiedyś zostanie człowiekiem normalnym... A dziś, — nie ze szkodą dla dzieci?...

Życie dziecka: wartościowe, realne, żmudne, poważne lata życia. Żyje wśród warunków stworzonych nie dla jego osoby. Cierpi, — mozolnie wydziera się z wieku eterowego, (bo nie istniejącego) by przejść do życia realnego, prawdziwego.

Dziecko klamki nie sięga; wspina się na palcach, by stołu sięgnąć, na krzesło z mozołem się dostaje; wielką łyżkę nie utrzyma w drobnej rączce; wyślizgnie się talerz, szklanka, dzbanek: porcelana, szkło. Przez próg się przewróci, Uszkodzi, wyleje.

Dorosły karze za „zły“ czyn, za stratę. Strofuje, gniewa, szarpie, bije!!!

Ciężki, nieświadomy grzech!!!..

Dziecko nie umie wytłumaczyć; obawia się trwożliwie, uległe tyranji dorosłych.

Dokoła czyha mnóstwo niebezpieczeństw, niespodzianek. Dziecko z trudem obraca się w otoczeniu. Ocenia według swoich zapatrywań (a posiada je).

Więc kara — niezawsze słuszna, nawet — bez winy — niesprawiedliwa.

Dziecko cierpi, bo dojrzali nie oceniają, nie wnikają.

Dziecko znów: nie wie, nie przeczuwa, nie może, dopiero poraz pierwszy spotyka się z zjawiskiem.

Ono dopiero ma poznać, zrozumieć, nauczyć, to— co dorosły już zna, rozumie.

Za co kara? może raczej pomóc, oceniać???

Oto zaledwie ułamkowa cząstka wielkiej sumy przyczyn, różniących ludzi dojrzałych od dziecka. Ułamkowe — lecz najdobitniejsze!

L. R.

WSPÓŁPRACA DZIECI DOROSŁYCH W DZIEDZINIE SAMOUCTWA W AMERYCE.

W Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej dzieci i dorośli pracują razem w dziedzinie samouctwa. Dla bliższego zrozumienia tej pracy, przyjrzyjmy się bliżej działalności i organizacji związku imienia Agassiza (Agasiz-Association), popierającym samouctwo w zakresie przyrodoznawstwa. Otóż stowarzyszenie to obejmuje obecnie przeszło 80,000 członków w wieku od lat 4 do 74, rozproszonych w postaci kółek lokalnych w 1200 miejscowościach Stanów Zjednoczonych, Kanady, Anglji, Japonji, Chili. Kółka składają się z osób najrozmaitszych: są to albo połączenia dzieciaków ze szkół początkowych aż do słuchaczy szkół wyższych, tej samej lub obu płci, albo grona ludzi dojrzałych najrozmaitszego kalibru; lub drobne organizacje domowe, złożone z dziadów i wnuków, niekiedy aż do dziecka czteroletniego. Zarząd główny, który umiejętnie krząta się około szerzenia wśród rzesz umiłowania wiedzy przyrodniczej, zwłaszcza za pomocą nauczycieli, stara się obudzić zamiłowanie do obserwacji przyrody, a jednocześnie zwalcza bezmyślną manję gromadzenia okazów, przyczyniającą tyle niepotrzebnego bólu zwierzętom i owadom. Zasadą organizacji całej jest hasło, że badać przyrodę należy drogą zetknięcia się bezpośredniego, przez obserwację, książka zaś conajwyżej powinna dostarczyć wyjaśnień i rozproszyć

wątpliwości. Każde kółko jest najzupełniej samodzielne, jedynie wysyła sprawozdanie roczne z swej działalności, oraz opłatę niewielką na rzecz czasopisma związkowego, w zamian za to otrzymuje poradę i wskazówki. Malec przebywający w jakimś zaścianku ustronnym, w każdej chwili może się zwrócić z zapytaniem lub z okazem do zarządu. A jaki istnieje stosunek serdeczny, a przedewszystkiem jak poważa się każdego berbecia nawet, o tem świadczą korespondencje i sprawozdania, drukowane w organie związkowym. Mam lat 3, a siostra 5 — czytamy w jednym z takich komunikatów. „Badaliśmy jednego robaczka — jest to prześliczny owad: ciało jego jest zielone, nóżki w liczbie 6 wyglądają jak przejrzysty kryształ. Wąsy dłuższe od tułowia, niekiedy w tył zarzucone, tułów ma przy końcu 2 różki, oczy czerwonawo-brunatne". (Sekretarka kółka poświadcza wiarogodność listu). „Jesteśmy uczenicami w kolegjum. Od lat czterech nauczyciel bierze nas do lasu i tam uczymy się umiłowania przyrody, obserwując życie zwierząt, ptaków i owadów na wolności.

„Nie dawno postanowiliśmy założyć kółko przyrodnicze, obecnie jest nas 26. Zdołałyśmy kupić dobry mikroskop, kilka książek i rycin. Posiadamy książkę, w której bibljotekarka zapisuje artykuły i rysunki, żądane przez członków, inną — z której sekretarka streszcza miewane odczyty. Prezeska zachęca każdą członkinię do wniesienia na zebranie 3 pytań na które odpowiedź bywa udzieloną na następnem zgromadzeniu".

Kółko w New-Brunsohn, bardzo liczne, bo mające przeszło 200 członków, urządziło się na wzór „Związku Amerykańskiego dla postępu wiedzy"; istnieją tam wydziały mikroskopji, fotografji, botaniki, astronomji, geologji.

A z innego miejsca nauczyciel szkółki początkowej donosi „Jest nas 33, a żywimy nadzieję, że będzie więcej. Chłopcy w liczbie 20 zebrali 500 okazów, dziewczęta pracują energicznie gromadząc korzonki, liście, nasiona, a kiedy przynoszą zbiór, zajmujemy się klasyfikacją. Studja, poszukiwania i wyjaśnienia odbywają się poza obrębem godzin szkolnych. Całą okolicę poruszył zapał dziatwy".

WANDA MELCER-SZTEKKEROWA — POWIEŚĆ.

POŚCIG Z PAMPASÓW.

(Ciąg dalszy)

I znowu struny brzęczały dalej i żaliły się nad nim, że biała gołąbka dziobnęła go w cerce. Skończył się krwawy festyn, teraz zaczynały się sentymentalne piosenki. „Rasa — myślał Sebastjan — rasa". I znowu myśl jego wróciła do książki, której nierówne, poszarpane kartki czule pieścił. Była to książka o rasie, ale o innej rasie, ludzi wysokich i barczystych, o jasnych włosach i oczach niebieskich, ludzi, którzy tam, daleko, o tysiące kilometrów, orali ziemię na nizinach Polski, Czech, na szerokich stepach Ukrainy. Książka o młodych, pięknych Słowianach, którzy, szczęśliwi i łagodni, pokonawszy własne namiętności, wyzwoliwszy się z pęt krwawego terroru, przynosili światu pokój w swoich dłoniach, sczerniałych od pługa i młota. Zakopany i zagubiony w bezmiernych, Argentyńskich pampasach, Sebastjan wzywał magicznie do siebie swoją odległą ojczyznę, ludzi ze swojej rasy, którzy mogli zrozumieć ogień, który w nim płonął, którzy mówili jego językiem, którzy nawet bez słów mogli go byli pojąć.

Wieczorem przyjechali handlarze koni. Matka nie chciała przy obcych zanadto łajać tego dużego syna, który naprawdę przynosił jej tylko wstyd.

— A rusz że się, gamoniu: — napędzała go z cicha, z twardym, hiszpańskim akcentem, kiedy niezdarnie podsuwał gościom w domu robione piwo. Po zabawach i ucztach dni ostatnich wszystkiego w domu brakowało, nieliczne noże gdzieś się zapodziały, porozciągane na dwór, do ognisk, przy których piekli barany. Trzej kupcy, młodzi czarnowłosi, brodaci mężczyźni, wyciągali palcami z miski gotowane kawałki wołowego mięsa i słodkie pataty[1]) kiedy matka podała tradycyjne, argentyńskie puchero[2]).

Ich poncha, porzucone, tkane z cienkiej, delikatnej wełny, prostokątne kawałki materjału z przeciętym pośrodku otworem na głowę, leżały na skrzyni pod oknem. Odpięli też pasy, gdzie w olstrach trzymali wielkie, nabijane srebrem rewolwery i złożyli je na wszelki wypadek koło siebie, na ławie.

[1]) Gatunek ziemniaków.

[2]) Rozgotowana z jarzynami wołowina.

Piękną uroczystość mieliście dzisiaj, matko — powiedziała ten, który wydawał się najstarszy i miał na sobie kaftan z drogiego, niemieckiego barchanu w kraty zielone z żółtem.

— Ile weźmiecie koni? — spytała, sięgając także do miski.

— Weźmiemy, ile dacie, choćby ze dwadzieścia— powiedział drugi — za dwa miesiące wypada wielki jarmark koński w Santa Fé, opłaci nam się droga.



Ganczo i dziewczyna.

— Teraz wszystko opłaci — powiedziała gderliwie — za moich panieńskich czasów połówka barana kosztowała dwa franki. Wtedy dorobilibyście się ładnego grosza!

— Nie bójcie się o nas; — roześmiał się znowu ten w kaftanie.

— Pewnie, że się nie boję. Złego licho nie weźmie. A iluż was jest? Tylko trzech?

— Jesteśmy pewni siebie, jak bracia. Możecie nam powierzyć niemowlę, dojedzie równie pewnie do miasta, jak pewne jest, że tu siedzimy.

I nagle Sebastjan musiał to powiedzieć:

— A gdybyście wzięli książkę?

Matka wzruszyła ramionami, nie raz i nie dwa starała się wybić synowi z głowy tak dziwne przepędzenie czasu. Ot, pomógł by jej lepiej, zamiast nad papierami siedzieć. Majątku, dzięki Bogu, przybywa, a niema głowy, która by o to dbała!

Brodaci ludzie spojrzeli po sobie:

— Cóż, można wziąć książkę. A co to jest?

— To — zostawili u nas krewni, dawno, dwadzieścia lat temu — powiedziała prędko matka (jakże można było poniżać syna przed tak godnymi ludźmi?).

Sebastjan pobiegł po swoją książkę, po swój ukochany rękopis, z którym nie rozstawał się od trzech lat, od czasu, kiedy pierwsze słowo napisał na pierwszej kartce. Cóż skusiło go teraz, żeby się z nią rozłączyć? Poczuł nagle palącą tęsknotę do porozumienia, pojął, że nie będzie mógł żyć dłużej, jeżeli nikt nie przeczyta tego, co tu wpisywał. Drżącemi rękami wyciągnął znowu szufladę i głaskał swoją książkę, jak się głaszcze po twarzy dziecko, z którem rozstanie boli. W pośpiechu, w trwodze, uciekła mu z rąk i leżała teraz przed nim na drewnianej podłodze, rozkrzyżowana i bezradna, nic nie mogąca bez jego pomocy. Wiedział doskonale, że czekała na niego, że na niego liczyła, że bez niego była bezsilna.

Zanieść ją, oddać tym ludziom: Dobrze, ale co dalej? Cóż mieli z nią zrobić? I któż mu mógł w tem poradzić, tutaj, gdzie nikt w domu, prócz niego, nie umiał czytać? Serce ścisnęło mu się goryczą oddalenia.

Z izby wołała matka:

— I cóż się tam z nią ceckasz? Daj tutaj, nikt ci jej nie zje.

W obydwóch rękach wyniósł do tamtej izby siebie samego.

— Piękna skóra — powiedział jeden z kupców, ważąc to dzieło w rękach.

Cielę mi się wzdęło zeszłego roku — powiedziała matka — a stąd cztery dni jazdy do najbliższego sąsiada.

Kupcy pokiwali głowami. Tu urodzili się i tutaj wzrośli ci trzej piękni, rośli, dzicy mężczyźni, których życie upływało na stepie, między końmi i bydłem. Zahartowani byli na wszelkie przygody i całą siłą młodych serc kochali to życie, którego doznawali.

— Gdzie chcecie ją wysłać?

— Do Santa Fé, naturalnie — powiedziała matka.

Sebastjan odebrał książkę z rąk młodzieńca. Pieczołowicie owijał ją w wyprawioną, cieniutką skórę, której pęk leżał na piecu. Do kogóż jednak ją posłać? Oczywiście, do człowieka, który wydaje książki. Poruszony cały, wpadł znowu do izby ojcowskiej, tam na książkach było zawsze napisane nazwisko wydawcy. Jedne z nich wydawane bywały przed półwiekiem w małych księgarenkach polskich Nowego Jorku, inne znów w Krakowie, ale jakoś żadne nazwisko nie wydało się Sebastjanowi godne zaufania. Pisma Karola Liebelta — gdzież to one były wydane? Hoene-

Wroński w Paryżu, Księgi Pielgrzymstwa — tak, do tego wydawcy napisze Sebastjan.

Już umaczał w atramencie zardzewiałą stalówkę, kiedy znowu straszna myśl przyszła mu do głowy: a jeżeli ten wydawca nie żyje? Z drugiej izby niecierpliwiła się matka, goście chcieli iść spać, jutro o świcie mieli wyruszyć. W ostatecznej rozpaczy Sebastjan położył rękę na swojej książce i sprobował ją zaczarować. Powiedział do niej tak:

— Jeżeli jesteś coś warta, trafisz sama do ręki człowieka, który cię wydrukuje. Ja nic więcej zrobić nie mogę.

Potem na wierzchu, na żółtej skórze, chropowatej i miękiej, na której zalewał się atrament, napisał adres: do pana tego i tego, księgarza w Paryżu.

D. c. n.

ZOFJA GULIŃSKA

WRZOSOWISKA JUTLANDZKIE.

Step niekoniecznie musi być na Ukrainie i niekoniecznie musi zajmować olbrzymie, bezkreśne obszary, nie musi być też porośnięty wysokiemi trawami, wśród których lotem ptaka szybuje jeździec na koniu stepowym. Niekoniecznie też glebę stepu tworzyć musi tłusty, urodzajny czarnoziem. Istnieje step o piasczystem podłożu, pokryty jednostajną szatą wrzosu, step-wrzosowisko. Taki step znajduje się w Jutlandji, Jutlandja zaś, to prowincja Danji, kraju, składającego się z kilku dużych wysp, mnóstwa wysepek i jednego wielkiego półwyspu: właśnie Jutlandji, wyrastającej jakgdyby z kadłuba Niemiec między Hamburgiem a Kilonją ku północy. Jutlanja, wystawiona na orkany, wiejące z zachodu od Morza Północnego, szarpana wiecznie wichrami morskiemi, ma glebę piaszczystą, na której wrzosy i wrzosy, całe wrzosowiska pokrywały niegdyś prawie cały środek Jutlandji, tworząc smętny, monotonny, aromatyczny, dziki step, tylko gdzieniegdzie przerywany ludzką siedzibą. Dziś tylko w niektórych okolicach ostał się czysty step.

Oto miasteczko maleńkie ze schludną, jakgdyby dopieroco wymytą stacyjką, o nazwie dziwnej, a jednak naturalnej: Trollhede, t. zn. djabelskie wrzosowisko. Gdy wyjedziesz poza obręb jego pięknie wybrukowanych uliczek i skręcisz w boczną drogę piasczystą, otoczy cię wnet brunatny lub liljowy (gdy wrzos kwitnie), pachnący krąg, zlewający się hen daleko z horyzontem. Wysokie krzaki wrzosu ocierają się o koła powozu, droga jest zła, wrzos ją raz po raz chce wziąć w posiadanie. Cisza głęboka tu panuje, tylko skowronek wysoko gdzieś śpiewa, a gdy przystaniesz, żmija zaszeleści i przemknie się niewidzialna. Niekiedy monotonność stepu urozmaica pagórek, pokryty niską, karłowatą dębiną, tworzącą gaik zielony, wśród którego kryją się puste kurhany. Kurhany zostały już dziś wszystkie chyba odkryte, a to co zawierały, przeniesiono dawno do Muzeum Starożytności w Kopenhadze, i tylko wzniesienie ziemi przypomina, że tu ongiś, w zamierzchłych, w bardzo zamierzchłych czasach, Danowie chowali swych bohaterów wikingowych. Wrzos i dębina karłowata,



Nowoczesna typowa zagroda chłopska w Danji.

oto cała roślinność stepu jutlandzkiego. Chociaż nie, rośnie tam jeszcze w niektórych miejscach karłowata sosna, poprostu nasza kosodrzewina, na wysokich zboczach Tatr, targana wichrami górskiemi, tu, na nizinie, wichrami morskiemi. Klimat bo w Jutlandji, odkrytej ku morzu, jest ostry — ale tak, jak w górach, powietrze jest świeże, balsamiczne. Urok tego stepu wrzosowego jest jedyny, a ludzie o poetycznych duszach uciekają tu od zgiełku świata, by chłonąć w siebie czar tej dziwnej ziemi, dać się ukołysać jej ciszą i ciemną urodą, by w tem sam na sam z naturą — odnaleźć siebie.

Ale jak już rzekłam, tego stepu jest dziś coraz mniej, bo uwzięli się na niego ludzie, którym dzieci mnożyły się w chacie, a ziemia mnożyć się nie chciała.

Tedy do walki z wrzosem, z mocną, nieustępliwą rośliną, co była panem niepodzielnym tego jałowego gruntu, wystąpiła wola ludzka i kazała twardym rękom chłopskim wytrwale i też nieustępliwie karczować te dziewicze ostępy, sierpem zżynać krzepkie łodygi, obnażając kawałek po kawałku piaszczystej gleby. Przyszedł pług i przyszedł nawóz sztuczny i zasiew i zazieleniły się łąki i pola tam, gdzie dawniej słał się kobierzec brunatny — i powstały kwadraty szkółek drzewnych, plantacje lasów, których rolą jest być zbiornikiem wilgoci, regulować klimat, upiększać kraj, wzbogacać go w drzewo. W pustkowiu w coraz bliższej odległości od siebie powstawać zaczęły nowe obejścia gospodarskie; wykarczowana, użyźniona ziemia zaczęła zapewniać nawet dobrobyt. Ale nicby nie pomogło zmaganie się ze stepem pojedyńczych gospodarzy, gdyby nie organizacja. Znalazł się człowiek, — Dalgas jego nazwisko — który zorganizował wielką akcję meljoracji Jutlandji w Towarzystwie Stepowem, „Hedeselskab“ po duńsku, w którem to słowie złożonem „Hede“ oznacza: step wrzosowy, a „selskab“: towarzystwo. Po 50 latach mądrej działalności tego, w roku 1866 założonego, towarzystwa, więcej, niż połowa obszaru „dzikiej“ ziemi Jutlandji, czyli około 500 tysięcy hektarów, przemieniona została w żyzne łąki, pożyteczne lasy i orne grunta.

I oto ten jałowy ongiś grunt zaczął przy wytężonej pracy ludzkiej dawać dobrobyt. Na miejsce dawnej chaty, krytej wrzosem, tak jak u nas słomą, znajdujemy murowane dworki, a gdy wejdziemy do takiej „chaty chłopskiej“ w Jutlandji — ogarnia nas zdumienie. Chłop, jak chłop, wiadomo, chociaż nie nosi się po „ludowemu“, pracować musi i znać też to po jego postaci ociężałej, pochylonej, po pomarszczonej twarzy, po rękach brunatnych, zgrubiałych, ale mieszka sobie zato — jak człowiek.

W pokoju bawialnym stół czyściusieńkim białym obrusem nakryty, na nim ładny, porcelanowy serwis do kawy, pod ścianą kredens, szafka z książkami, biureczko, nierzadko fortepian. No i fotel. Duńczyk lubi wygodę. Podłoga wyfroterowana lśni się, wyłożona ponadto linoleum. W oknach białe firanki. Przyjmują gościa tradycyjną, ulubioną kawą, która musi być mocna, do niej dają w maleńkiej ilości wyborową śmietankę i moc słodkiego, domowego wypieku ciasta. I tak przyjmują nawet, gdy gość przybędzie niespodziewany. Chłopi duńscy są bardzo gościnni. Dobrobyt ich nie popsuł. Dowodem tego jest również, mówiąc nawiasem, ogólny prawie zwyczaj brania do siebie na miesiące letnie, „na odżywienie“ najbiedniejszych dzieci z miast, zastępując im przez to, a nawet przewyższając, kolonje letnie. Liczba dzieci, w ten sposób używających bezpłatnego letniska, jest tak znaczna, że rząd duński rok rocznie wyznacza specjalne pociągi w oznaczone dni, które dzieci zawożą i odwożą z poszczególnych punktów zbornych. Trzeba widzieć taką stacyjkę na prowincji w Jutlandji, gdy dzieci odjeżdżają. Dzieci, rumiane, wesołe, szczęśliwe i wdzięczne siedzą już w wagonach, na peronie gromada odprowadzających gospodarzy i gospodyń. Kobiety w sakramentalnych, czarnych sukniach z wysokim pod szyję kołnierzykiem, w słomianych, wielkich, w kształcie budek, kapeluszach, chłopi o kanciastych postaciach, w miejskich, marynarkowych ubraniach, tryskający dobrobytem i rumianością twarzy, stoją i machają chusteczkami, gdy pociąg, rozśpiewany i też powiewający niezliczonemi flagami chusteczek, wysuwa się ze stacji.

Karczowanie wrzosowisk i wogóle meljoracja gleby pociągnęły za sobą nietylko powstanie licznych i dostatnich gospodarstw wiejskich, ale i całych miasteczek, które rację bytu swego opierają znów na tych nowopowstałych gospodarstwach. I nie są to jakieś, broń Boże, marne mieściny tak, jak u nas, ale wzorowo czyste, ładne i zdrowe siedziby ludności kupieckiej, w której wielkich i pięknych sklepach chłop duński zaopatruje się w wiele, wiele bardzo rzeczy, na które u nas nawet inteligent w mieście się nie zdobywa. Przykładem tu może być miasto Herning, na którego terenie lat 50 temu jeszcze żmije wśród wrzosów pełzały. Dziś świadczy ono o dobrobycie okolicy. Ładne, nowe domki, czystość tych domów, ulic, zachwycająca. Miasteczko, oczywiście, skanalizowane. Główną, gładką i prostą ulicą śmigają rowery i samochody. Skąd tyle samochodów? To chłopi przyjeżdżają ze wsi po zakupy. Sklepy za sklepami ciągną się wzdłuż całej parokilometrowej głównej ulicy, jeden okazalszy od drugiego. Pełne są towaru nietylko pierwszej potrzeby, ale i zbytku. Rzucają się w oczy wystawy sklepowe z piękną porcelaną, z obrazami, przyborami ozdobnemi do wnętrz mieszkaniowych. Przed każdym sklepem na trotuarze umieszczony jest jakby fragment płotku żelaznego do wstawiania między jego żebra rowerów, z których zsiadają klijenci, zostawiając swe „rumaki“ kołowe na ulicy w owej „garderobie“, ażeby nie upadły. Nikt ich, oczywiście, stamtąd nie rusza. Duńczycy, to najbardziej „rowerowy“ ze wszystkich narodów na świecie. Rower posiada i na rowerze jeździ tam każdy. Miasteczko Herning jest i pod tym względem typowo duńskie.

Mimo czaru stepu wrzosowego, zanika on coraz bardziej i zniknąłby szybko zupełnie, gdyby nie przyszła mu znów z pomocą chęć zatrzymania „próbki“ tej postaci przyrody w formie parku narodowego, to znaczy obszaru, zabezpieczonego ustawowo przez państwo od jakiekolwiek zmiany w przyrodzonej jego

naturze, stosując prawo ochrony przyrody. Na taki park narodowy wybrano najoryginalniejszą część Jutlandji — Rabild Bakker — odznaczającą się w dodatku piękną falistością gruntu. W ten sposób każdy naród chroni w swoim kraju to, co otrzymał najcharakterystyczniejszego od przyrody. I my, Polacy, stwarzając Park Narodowy w Tatrach, czynimy to samo.

K. STROMENGER

MONIUSZKO.

„STRASZNY DWÓR".

Wypadki polityczne roku 1863, powstanie styczniowe i jego stłumienie, wywołały w Warszawie nastrój przygnębienia. Moniuszko, krótkowidzący, utykający na nogę, ponadto jeszcze dotknięty chorobą sercową, nie mógł ani marzyć o noszeniu broni. Niepraktyczny w życiu codziennem, naiwny i niezaradny, zawsze tylko wsłuchany w melodję swego ducha, — był Moniuszko niezdolnym do pracy organizacyjnej i tem samem do jakiegokolwiek czynnego udziału w powstaniu.

Zapewne wrażenie wypadków nieszczęśliwego roku zatamowało jego twórczość. Ale na to tylko, aby pod koniec tegoż roku, odezwała się ona z jeszcze silniejszem tylko natężeniem. W listopadzie 1863 r. Moniuszko z takim zapałem bierze się do nowej opery, że w jednym dniu pisze jednym tchem aż trzy akty! Tą operą był *„Straszny Dwór"* — dar natchnienia, po długim, może mimowolnym, wypoczynku. Umiał być też Moniuszko wdzięczny niebu za swe natchnienie. Cały rok następny zajęło wykończenie „Strasznego Dworu". Żadnemu z dzieł poprzednich nie poświęcił Moniuszko takiej staranności. To też w „Strasznym Dworze" kompozytor już nietylko przedstawia się jako człowiek płomiennego natchnienia, ale jako artysta dojrzały, o wyrobionym smaku artystycznym, jako artysta u zenitu swej twórczości.

Jak niegdyś temat „Halki", tak i tu treść „Strasznego Dworu" znalazł Moniuszko w tomiku Kazimierza Władysława Wójcickiego, zatytułowanym: „Stare Gawędy i Obrazy". Słowa napisał Moniuszce jego, od czasu „Verbum Nobile", nieodstępny współpracownik, Jan Chęciński. Tym razem librecista (autor tekstu operowego) musiał treść gawędy rozbudować, bo w zbiorku Wójcickiego mało tylko znajduje się szczegółów późniejszej fabuły operowej. Nietylko doskonale ujął Chęciński nikły wątek w cztery, żywe i pocieszne płynące akty, ale w wierszu okazał się poetą niebylejakiej miary. Wiersz Chęcińskiego ma charakter, rozmach, rycerską postawę, uderza w starodawny ton szlacheckiej gwary. Nieraz wiersz „Strasznego Dworu" zbliża się do wiersza Fredry. A nawet sam temat „Strasznego Dworu" przypomina „Śluby Panieńskie", z tą tylko różnicą, że tu nie dwie panny, ale dwóch młodych rycerzy pancernych ślubuje dozgonne kawalerstwo, na to, aby postanowienia nie dotrzymać, ostatecznie skłonić głowy pod jarzmo małżeńskie, i to... wcale chętnie.



Scena ze „Strasznego Dworu".

Wraz z Chęcińskim i Moniuszko odczuł szczególny urok tej opowieści, bogatej w obrazy staropolskiego życia. Moniuszko muzyką swą uchwycił charakter opowieści o rycerstwie towarzyszów pancernych, o pustocie panienek, które straszyły gości dworu, o jowialności dawnej służby. I w muzyce znalazły się rysy dawnej towarzyskości polskiej, barwy i odcienie dawnego życia, które Moniuszko znał sam z opowiadań, a nawet po części jeszcze z własnych wspomnień dziecinnych. Odezwały się w muzyce Moniuszki trąbki myśliwskie, rozbrzmiały melodje dawnych kurantów, rozdźwięczały dzwonki zapustne kuligów. Ożyły przedewszystkiem dawne typy: cześnikowa, miecznik, obaj stolnikowicze, palestrant Damazy, Maciej stary sługa, klucznik Skołuba. Miecznik, to typ starego szlachcica polskiego. Oracja, którą on pra-

wi Damazemu, to polonez ideałów szlacheckich: „Kto z mych dziewek serce której — w cnych afektów plącze nić; — by uwieńczyć swe konkury, musi dzielnym człekiem być. Piękną duszę i postawę — niechaj wszyscy dojrzą w nim, — śmiałe oko, serce prawe, — musi splatać w jeden rym“. Każdy z przyszłych zięciów miecznika musi: „dotrzymywać słowa wiernie, — strzec płochości, strzec się zdrad; — czy przez kwiaty, czy przez ciernie — prostą drogą iść przez świat“. Oto oracja, która Moniuszce przemówiła do duszy, budząc w nim wspomnienia. Może wspomnienia ozłociły i wyidealizowały nieco tę przeszłość polską, o której historja sądzi trzeźwiej. Ale przeszłość ta pobudzała wyobraźnię poety i muzyka była przedmiotem tęsknoty, bo dla polaków popowstaniowych przeszłość Polski była równoznaczna z — wolnością i szczęściem. Moniuszko dał tym polakom dawnego obraz szczęścia i za to już byli mu wdzięczni. Jakoś raźniej znosili swą szarą teraźniejszość i w sercu zachowali sobie nadzieje.

Nie rozdrapywał Moniuszko ran narodowych, nie gromił swych współrodaków, nie chciał rządzić ich duszami, nie czuł się nigdy przywódcą Narodu, zawsze pozostał człowiekiem skromnym i gołębiego serca. A jednak dał duszy polskiej promień słońca, dał jej pociechę i ufność. Muzyka Moniuszki była ani słowem proroka, ani biczem bożym.

Była tylko ukojeniem i nadzieją.

ROZRYWKI UMYSŁOWE.

Nr. 1. LOGOGRYF uł. p. Jan Chrzanowski.

A	A	A	A	A	A	A	A	A	A	A	A	A	A	A	D
D	D	D	E	E	E	F	I	I	I	I	K	K	K	K	K
K	K	L	L	Ł	M	M	M	M	M	N	O	O	O	O	O
P	R	R	R	R	R	R	S	S	S	T	T	U	U	Z	Z

Podane litery poprzestawiać tak, aby utworzyć 16 wyrazów, czytanych pionowo. Trzeci rząd poziomy da rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów.

1. Korab. 2. Porażenie. 3. Porcja. 4. Machina prosta. 5. Pani. 6. Tytuł turecki. 7. Część łodzi. 8. Kościół. 9. Zwierzę domowe. 10. 60 sztuk. 11. Szum, hałas. 12. Część wozu. 13. Imię męskie. 14. Rodzaj, gatunek. 15. Minerał. 16. Imię męskie.

Nr. 2. KWADRAT MAGICZNY uł. p. Bondorowski.

A	A	A	A	A
A	A	A	B	D
G	I	I	K	N
N	N	N	O	O
R	R	W	W	Z

Podane litery poprzestawiać tak aby utworzyć 5 wyrazów, czytanych jednakowo poziomo i pionowo.

Znaczenie wyrazów:

1. Owoc. 2. Roślina płd. 3. Tytuł turecki. 4. Lekki statek. 5. Biblja mahometańska (wspak).

Nr. 2. Szaradki rebusowe uł. p. George Abbe.

Nr. 1. Stronica + Imię gwiazdy filmowej=Starożytne miasto

Nr. 2. Tytuł+zaimek+wyraz twarzy=Utwór sceniczny.

Za trafne rozwiązania obydwóch zadań, nadesłane w terminie dwutygodniowym w kopertach z dopiskiem: „Rozrywki Umysłowe“ przeznacza Redakcja w drodze losowaniaksiążki.

Rozwiązania z Nr. 13.

Nr. 1. WIRÓWKĄ.

S	ł	o		e	O	c		l	o	r		y	n	j		b	o	w
i	1	w		i	2	h		o	3	a		s	4	a		y	5	s
k	c	a	K	k	c	o	ś	C	o	D	z	i	b	A	r	D	i	k
		b	6	a		M	7	i		a	8	k		S	9	y		
l	u	s	e	r		i	k	c		k	s	u		a	k	n	h	o
e	10	z														r	11	l
p	a	K														o	B	m

Nr. 2. LOGOGRYF LITERACKI.

S. Żeromski — Zych

Trafne rozwiązania nadesłali pp:

Bondorowski Jerzy w/m Chyliński Stefan wm. Dymerski Włodzimierz wm. Jarmulski Saturnin—Modlin. Kamińska Kamilla—Sulejówek. Kamiński Stanisław—Sulejówek. Kozłowski Czesław w/m. inż. Landau Jan w/m. Łuszpianko Stanisław w/m. Tietz Zygmunt w/m. Zwolski Zygmunt wm.

Nagrody wylosowali pp.

1) Chyliński Stefan wm. 2) Łuszpianko Stanisław wm. 3) Zwolski Zygmunt wm.

Nagrody rozsyłamy.

Adres Redakcji i Administracji. Warszawa, Hipoteczna 5. Tel. redakcji i administracji 517-35.
Redakcja otwarta w poniedziałki, środy, piątki od godz. 1 m. 30 do godz. 3-ej popoł.
Administracja czynna codziennie od g. 9-ej do 3-ej. pp.
WARUNKI PRENUMERATY: Miesięcznie Zł. —.95. Kwartalnie Zł. 2.85. Półrocznie Zł. 5.70. Rocznie Zł. 11.40.
Konto P. K. O. Nr. 19929.

Warszawskie Zakłady Graficzne. Wilcza 60. Telefon 293-47.